

JAKUB CWIEK KŁAMCZAK MACHINOMACHIA



KŁAMCIANKA

gra karciana
w pakiecie

SON
WYDAWNICTWO
JAKUB CWIEK

JAKUB ĆWIEK
КЛАПСА
MACHINOMACHIA



JAKUB ĆWIEK
KŁADŃCA
MACHINOMACHIA

KRAKÓW 2014

KŁAMCA 2.5
MACHINOMACHIA

Copyright © by Jakub Cwiek 2014
Copyright © for the Polish edition by
Wydawnictwo SQN 2014

Redakcja – Tomasz Hoga
Korekta – Joanna Mika-Orządała
Skład i łamanie – Joanna Pelc
Przygotowanie okładki – Paweł Szczepanik / BookOne.pl
Rysunek na okładce i wszystkie rysunki
w książce – Iwo Strzelecki

All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone.
Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana
ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana
mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub
magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego
przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

Wydanie I, Kraków 2014
ISBN: 978-83-7924-197-2

Jakub Cwiek

www.jakubcwiek.pl
www.facebook.com/JakubCwiekOfficial



www.wydawnictwosqn.pl

Q. DYSKUTUJ O KSIĄŻCE



[/WydawnictwoSQN](https://www.facebook.com/WydawnictwoSQN)



[/SQNPublishing](https://twitter.com/SQNPublishing)



[/WydawnictwoSQN](https://plus.google.com/+WydawnictwoSQN)



NASZA KSIĘGARNIA www.labotiga.pl

Szukaj naszych książek
również w formie
elektronicznej



WSTĘP



igdy nie wierz kłamcy – to chyba dobre podsumowanie tej książeczki. Zapewne wielu z Was uzna, że mówiąc „kłamca”, mam na myśli siebie. Mówilem przecież, że kontynuacji cyklu nie będzie. Jednak już szybciotko wyjaśniam, dlaczego to nie Was tu oszukano.

Otóż, choć raz czy drugi wspominałem, że mam w głowie jeszcze pełno historii ze świata Lokiego – jak na razie bez ściemy – i pewnie raz czy drugi do niego wrócę, to jednak w głębi serca miałem wrażenie i przeczucie, że to już zamknięty rozdział. Że mam teraz dwa nowe cykle, nowych bohaterów, którzy wielu z Was przypadli do gustu. Myślałem, że naprawdę mam co robić, pisać, wymyślać i nie mam czasu, by zajmować się tym cholernym facecikiem z wykałaczką w zębach.

Wydawało mi się, że powiedziałem to dość wyraźnie i dosadnie – nadal mi się tak wydaje – a on to zrozumiał i sobie poszedł. Otóż źle myślałem. Wrócił, i to w dość cwany sposób. Najpierw jako kłamra do wciąż niezrealizowanego pomysłu Iwo Strzeleckiego (nie będę o tym jeszcze pisał, ale jest szansa, że ubawi Was trochę, gdy już powstanie), potem jako pomysł na film

(niedługo będę o tym mówił nieco więcej, ale już teraz zaznaczę, że pewnie nie obejdzie się bez Waszej pomocy), czy wreszcie jako... „Kłamciana”.

No właśnie. „Kłamciana” – niekolekcyjerska gra karciana, której być może jesteście posiadaczami – była tak naprawdę tą ostatnią kroplą przepełniającą czarę. Ekipa Lans Macabre wykonała świetną robotę przy tworzeniu mechaniki gry. Fajnie było też się przyglądać moim postaciom oczami Roberta Sienickiego (no dobra, nie dosłownie). Wszystko to sprawiło, że, no cóż, trochę mi się zatęskniło. A potem na dokładkę Iwo zrobił genialny plakat do nieistniejącego jeszcze tekstu... i poszło. Tak mnie gnojek w cwany sposób podszedł. A mówili: nigdy nie wierz kłamcy. Ech...

To, co zaraz przeczytacie, to nowelka i dwa opowiadania, które trzeba starannie rozmieścić w chronologii wydarzeń. Nie będzie to trudne, jeśli spojrzycie, którzy bohaterowie są obecni, a których nie ma. Tym, którzy nie chcą się bawić w zagadki, powiem, że akcja opowiadań *Handlarz snów* i *Swat* ma miejsce gdzieś między historiami z pierwszego tomu, a już na pewno zanim Loki dostał Kłamczucha. *Machinomachia* opisuje już wydarzenia po tym, jak zebrała się Kłamcowa drużyna, ale nastąpiło to dopiero niedawno i jeszcze się nie dotarli. Teraz właśnie się docierają...

Opowiadania, liczę na to mocno, rzucą trochę światła na to, co naprawdę Loki robił dla aniołów i jak przy okazji realizował swoje złożone plany, z których później – wiecie zresztą – wyszło, co wyszło.

Mam nadzieję, że będziecie się bawić przynajmniej tak dobrze jak ja, gdy pisałem te teksty. Jeśli tak i jeśli

wyrazicie to potem dość głośno, jeszcze się z Lokim spotkamy.

A teraz wybaczcie, czeka na mnie pewna banda motocyklistów i ich mama.

Jakub

HANDLARZ SNÓW



MINNEAPOLIS, MINNESOTA

WSPÓLCZEŚNIE



zwonek windy wyrwał go z odrętwienia. Mocniej zacisnął palce na uchwycie nese-
sera, zaczerpnął tchu i poczekał, aż rozs-
ną się drzwi. Wyszedł na hotelowy kory-
tarz, nucąc pod nosem kawałek, którego
tytułu za nic by sobie teraz nie przypomni-
ał. Zerknął na
napisany po wewnętrznej stronie dłoni numer pokoju
i skrzył w lewo. Mijając starszego, siwowłosego męż-
czyznę w czarnym garniturze, musnął rondo fedory, ale
ponieważ jegomość mocował się właśnie z magnetycz-
nym zamkiem, ani myślał odpowiadać na uprzejmości.
A to był afront, którego białym nigdy nie należało puszc-
zać płazem.

Przystanął, postawił neseser i powoli się odwrócił.
Gdy to zrobił, na jego twarzy gościł szeroki, szczery
uśmiech. W połączeniu z dołeczkami w policzkach oraz

z kurzymi łapkami nieco powiększonymi przez szkła okularów nadawał jego obliczu wyraz wręcz dobrotliwy. Podobnie głos, który dobrał do twarzy, był głęboki, ale ciepły. Miły, sugerujący doświadczenie i przede wszystkim dobrą wolę.

– Może panu pomóc? – zapytał. – Widzę, że się pan męczy, a ja dobrze znam te zamki.

Nie czekając na odpowiedź, podsunął się do mężczyzny, lewą ręką sięgnął po kartę, prawą wsunął mu dyskretnie do kieszeni spodni i wyjął telefon.

Mężczyzna w czarnym garniturze, skonfundowany, próbował podziękować za pomoc, zapewnić, że sobie poradzi, ale tak naprawdę nie opierał się jakoś szczególnie. Poziom frustracji osiągnął już zapewne ten punkt, za którym robiło się maleńkie wypady za granicę wstydu i czasem korzystało z pomocy.

Nietrudno było zgadnąć, co tu robił. Garnitur porządnej firmy, ale z wyraźnymi śladami znoszenia, na karku ścinki siwych włosów, nieco już obwisła skóra szyi, a na niej kilka nacięć, kilka kępek niedogolonego zarostu. Buty eleganckie, skórzane, ale niespecjalnie dobrane do stroju, bo ciemnobrązowe i tylko zapastowane na czerń. No i jeszcze ten problem z kartą świadczący, że mężczyzna nieczęsto bywał w hotelach. A już z pewnością nie w tak drogich.

Szybkie zerknięcie na telefon – oczywiście niezabezpieczony, do odblokowania wystarczyło wcisnąć fabrycznie ustawioną kombinację klawiszy – i lista ostatnich wiadomości utwierdziła go tylko w już zdobytym przekonaniu. Mężczyzna w garniturze miał romans z jakąś młodą naciągaczką, która zagięła na niego parol.

Normalnie to by mu wystarczyło, ale dziś... Dziś nie było normalnie, neseser i jego zawartość przypominały o tym aż nadto dobitnie. Poza tym on skłonił się pierwszy, bez specjalnego powodu, co już samo w sobie było rzadkie. Ostatni raz zdarzyło się bodaj ze sto pięćdziesiąt lat temu. Tym mocniejsze było więc w nim pragnienie rewanzu.

Szybko przejrzał listę kontaktów za plecami mężczyzny w garniturze, jednocześnie udając, że czyści kartę magnetyczną. Potem powoli przeciągnął ją przez szczelinę czytnika. Przy klamce zapaliła się zielona lampka.

– O, dziękuję – powiedział mężczyzna, choć w jego głosie wcale nie słychać było wdzięczności.

Komu jednak była potrzebna jego wdzięczność, skoro w telefonie bez trudu znalazła się słodka zemsta. Zapamiętał numer i szybko wrzucił aparat z powrotem do kieszeni spodni tamtego.

– Proszę – rzekł i wrócił do nesesera.

Podniósł go z ziemi, raz jeszcze zerknął na numer na ręce, jedyny, którego jakimś niezrozumiałym cudem nie potrafił sobie zakodować w głowie, i zorientował się, że stoi już w zasadzie przy właściwych drzwiach.

Zza rogu na końcu korytarza wyłonił się właśnie boy hotelowy, z oddali dobiegł go też znajomy dźwięk dzwonka windy, zwiastujący pojawienie się ślicznej, mocno już rozchwianej blondynki w zwiewnej sukience w czarno-białe pionowe pasy. Trzymała w ręce sandaalki. Gdy go ujrzała, zamachała nimi do niego, a on uniósł rękę w geście pozdrowienia. Może jeszcze dziś się zobaczą, choć nie obstawiałby tego specjalnie. Zresztą nie lubił takich, które nie stanowią żadnego wyzwania. To

było jak jedzenie w fast foodach. Dobrze dla leniwych białych.

Począł, aż dziewczyna zniknie w pokoju mężczyzny w garniturze. Chwycił mocniej rączkę nesesera, po czym wreszcie zapukał.

– Wejść – rozległo się z wnętrza.

Nawet nie sięgnął do klamki, wiedząc, że bez karty nie dostanie się przecież do środka. Uśmiechnął się więc tylko i czekał. Po chwili zapukał jeszcze raz.

Tym razem ktoś wewnątrz zorientował się, w czym rzecz, bo rozległy się kroki, a zaraz potem drzwi stały otworem. W progu stał ubrany w dżinsy i czarny T-shirt mężczyzna pod czterdziestkę o surowej, jakby wyciosanej z drewna czerwonej twarzy, orlim nosie i oczach ciemnych i tak przenikliwych, jakby chciał nimi przejrzeć wszystkich na wylot. Czarne, lśniące włosy miał zaplecione w dwa warkocze opadające mu na ramiona. Na rzemieniach, którymi były związane, wisiały małe, drewniane koraliki.

– Ty jesteś... – spróbował zapytać Indianin, ale słowa uwięzły mu w gardle. – Jesteś...

– No dalej – zachęcił, poprawiając okulary i uśmiechając się szeroko, choć tym razem nie tak dobrodusznie jak wcześniej. – Powiedz moje imię.

– Ty jesteś Kojot?

Skinął głową.

– Może wpuścisz mnie do środka? – zaproponował. – Mam coś pilnego do zrobienia, zanim zaczniemy.

Indianin cofnął się o krok i odsunął na bok, wpuszczając Kojota do pokoju.

Gość dziarsko wszedł do środka, minął drzwi do łazienki i łóżko, odsunął krzesło i położył na nim neseser. Następnie sięgnął nad blatem masywnego biurka po telefon stacjonarny, przymknął oczy i bezgłośnie poruszył ustami, powtarzając zapamiętany szereg cyfr. Wklepał go w klawiaturę, pamiętając o uprzednim wybraniu podwójnego zera wymaganego przy wybieraniu rozmowy zewnętrznej. Odczekał trzy sygnały, aż usłyszał dojrzały kobiecy głos.

– Przepraszam panią najmocniej – powiedział, zmieniając głos na roztargniony, pocieszny baryton podstarzałego nauczyciela – ale dzwonię z hotelu Panorama, pani mąż zgubił tu portfel, a ja znalazłem pani numer na tej śmiesznej karteczce, wie pani, tej z wiadomością, kogo powiadomić w razie wypadku. Chciałem mu go oddać, ale w recepcji nie chcieli mi powiedzieć, w którym jest pokoju. – Roześmiał się troszkę nerwowo, troszkę przepraszająco. – A może po prostu nie chcą nam, maluczkiem z jedynek na parterze dawać namiarów na kontakt do tych z apartamentów... Nie, proszę pani, na pewno się nie pomyliłem i... Chociaż nie, chwilczkę. Może rzeczywiście. Tak, przepraszam, że kłopotalem. Tak, do usłyszenia.

Rozłączył się i spojrzał na nieco zdumionego Indianina.

– Spotkałem na korytarzu – wyjaśnił. – Nie odklonił mi się.

– Aha.

Gospodarz pokoju pokiwał głową, jakby w pełni rozumiał. Kto wie, może tak było w istocie, a może chciał już przejść do ważniejszych spraw, na przykład do zawartości

nesesera. Trudno było bowiem nie dostrzec jego nerwowych zerknięć w tamtą stronę, pięści zaciskających się i otwierających, przestępowania z nogi na nogę.

Kojot skrzywił się na ten widok. Kiedyś jego lud był zdecydowanie bardziej cierpliwy. Musiał, zważywszy na to, co zgotował mu los, biali i ten ich przekłety bóg. Czy też raczej bóg aniołów. Westchnął, cisnął kapelusz na łóżko. Następnie zdjął czarną kurtkę, rozpiął guzik koszuli pod samą szyją i zzuł buty.

– Jesteś młody jak na szamana – powiedział, nie zaszczycając Indianina spojrzeniem. – Ale to może i dobrze, dość miałem tych rozlatujących się, roztrzęsionych worków kości mówiących pieprzonymi zagadkami. Jak się nazywasz?

– Dominic Verenton, sir.

Kojot odwrócił się gwałtownie i splunął na ziemię prosto pod stopy Indianina. Następnie wykrzywił się w grymasie pogardy i wycedził, starannie podkreślając każde słowo:

– Nigdy więcej nie mów do mnie w ten sposób. Zapytałem cię też o imię, a nie o jebane przezwisko, pod którym się kurwisz.

– Idący-W-Cieniu – poprawił się błyskawicznie Indianin. I przepraszam, si... znaczy Kojocie.

– Adekwatnie.

Kojot westchnął i rozpiął rozporek. Wsunął rękę do bokserów, szarpnął i oderwał sobie dorodne, gładko ogolone przyrodzenie, którym również cisnął na łóżko obok kapelusza.

Bezbrzeżne zdumienie Indianina skwitował wzruszeniem ramion.

– Przeszkadzał mi w skupieniu się – powiedział. – A sprawy są ważne i niecierpiące zwłoki.

Zapiął spodnie, podniósł z krzesła neseser i usiadł, Idącemu-W-Cieniu wskazując miejsce na łóżku naprzeciw siebie i ledwie kilkanaście centymetrów od swojego penisa. Dopiero gdy tamten spoczął, Kojot założył nogę na nogę i splótł dłonie w piramidkę, palce wskazujące przykładając do warg.

– Rozumiem, że jesteście gotowi. Ustawa przygotowana, ludzie przygotowani do jej realizacji, wszystko, co było po stronie Szczepów, Plemion, jest już zrobione i jedyne, na co teraz czekacie, to działania Kongresu?

Idący-W-Cieniu skinął głową, choć jak przypuszczał Kojot, była to tylko w połowie prawda. W rzeczywistości bowiem nikt na nic nie czekał. Nikomu nawet się nie śniło, żeby ktokolwiek tak naprawdę przejął się losem współczesnych Indian, będących jedynie nabrzmiałym, czerwonym pryszczem na gładkim licu sumienia zjednoczonych stanów. A już marzenia o autonomii, takiej prawdziwej, niemal państwie wewnątrz państwa, z własnym prawem, a nie jego parodią, z pracą, z urzędami... Nie, to była mrzonka, w którą nie wierzył w zasadzie nikt, nawet ci, którzy pokładali jeszcze jakąś nadzieję w nim, Kojocie, swoim, było nie było, bogu.

Większość tych, którzy w niego wierzyli – czy też dokładniej: dopuszczali istnienie gdzieś, kiedyś, w przeszłości – dawno już nabrała przekonania, że ich opuścił. Topili swe smutki w morzach, oceanach taniej whisky, którą biali dawali im w zamian za ich potulność, głosy, a bywało, że także za córki na noc czy dwie. Czasem, w pijackim widzie albo w bolesnym jak błysk światła prosto w oczy

przebłyску trzeźwości złorzeczyli mu, pytając, czemu ich opuścił. Bez cienia wątpliwości myślał tak ten tutaj. Ale Kojot pamiętał, był z nimi wciąż i wciąż, a najlepszy na to dowód stanowił ten oto właśnie nesese.

Otworzył go teraz, powoli, z namaszczeniem, ale i ze złośliwą przekorą, wiedział bowiem, że siedzący naprzeciwko mężczyzna lada chwila dostanie kręcka. Tak się mówiło? Kręcka? Kojot czasem nie był pewien, co w języku białych ma znaczenie, a co jest debilnym słowem ułożonym na poczekaniu z lenistwa.

Wreszcie odskoczyły zamki, podniosło się wieko i oczom Idącego-W-Cieniu ukazały się dziesiątki małych i większych starannie wyplecionych łapaczy snów. Wszystkie ozdoby emanowały żółtawym, a czasem czerwawym światłem, wszystkie szemrały cichutko niczym strumień gdzieś między drzewami w Górach Skalistych.

– Oto dar od waszego boga, Idący-W-Cieniu, od ducha, może niekoniecznie dobrego, ale jedyne, jaki wam został. Jedyne, jaki może spełnić wasze sny.

Indianin przez chwilę przyglądał się zawartości nesesera, zezując jakby patrzył na trójwymiarowy obrazek i za wszelką cenę wśród kolorowych nitek, piór i koralików usiłował wypatrzeć żaglówkę. W końcu poddał się i uniósł głowę.

– Wybacz, Kojocie, ale nie rozumiem – powiedział. – Co to właściwie jest?

– To... – zaczęło bóstwo, ale nie dane mu było dokończyć.



Koniec fragmentu.

Zapraszamy do księgarń
i na www.labotiga.pl



WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

